

Jeden rozkaz, jedna chwila, jedna śmierć.

To właśnie całkowicie i bezpowrotnie zmieniło życie Samuela Remseya. Przeszłość, którą chciał za sobą zostawić, nie pozwalała o sobie zapomnieć, pustosząc jego serce i umysł. Złamany, zraniony i pogrążony w smutku zapomniał o tym, co powinno stać się jego siłą – o rodzinie. Bez przerwy prowokował śmierć, śmiejąc jej się w twarz. Jednakże wszystko, co robimy, wraca do nas ze zdwojoną mocą. Przyszedł w końcu czas, że śmierć zadrwiła z niego. Został zepchnięty na samo dno egzystencji. Czekał na zgubę. Lecz zamiast tego otrzymał pomocną dłoń. Dzięki danej mu szansie uwolnił się od widm dnia wczorajszego, budując na nowo swoje życie.

Pozorny spokój zaburzyła jednak osoba, która jako jedna z niewielu była w stanie w ciągu minuty zarówno go rozśmieszyć, jak i wyprowadzić z równowagi. Była jak mina przeciwpiechotna – niepozorna, ale cholernie niebezpieczna.

Czy mężczyzna z tak burzliwą przeszłością jest w stanie pokochać? Czy zdoła otworzyć serce przed kobietą, która nie wierzy w miłość i nie chce jej w swoim życiu? Czy tych dwoje podda się przeznaczeniu, czy nieustannie będzie z nim walczyć?

Copyright ©
Ewa Pirce
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Anna Rochatka
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-059-9

EWA PIRCE

DOPÓKI NIE ZAJDZIE SŁOŃCE

CZĘŚĆ 1

OŚWIĘCIM 2019

*Dla każdej kobiety, która pokochała Sama
jeszcze przed poznaniem jego historii.*

PRZEDMOWA

Drodzy Czytelnicy,

każdy z nas zmagał się z mniejszymi czy większymi demonami. W życiu musimy pokonać niezliczone przeszkody. Jesteśmy zmuszeni do walki o każdy uśmiech i radość. Nie jest to kolorowy film, bajka, o której marzymy w dzieciństwie, lecz nieustająca walka. O przyjaźń, szczęście, rodzinę, miłość, samych siebie... Taki bój stoczył również Samuel. Z samym sobą, ze swoimi koszmarami, słabościami oraz uzależnieniem, które znacznie wpływało na jego decyzje. *Dopóki nie zajdzie słońce* to nie jest typowy romans. Nie jest to również opowieść o związku pomiędzy kobietą a mężczyzną, ale o takim, który zawieramy zaraz po urodzeniu – ze światem.

Życzę Wam przyjemnej lektury i mam nadzieję, że ta historia na długo pozostanie w Waszej pamięci.

PROLOG

Staję się niespokojny, kiedy jest ciemno.

– Jackal, na zewnątrz jest dwóch czarnych, uzbrojeni po zęby – rozbrzmiał w słuchawce głos Snake’a.

– Gdzie Iron i Smokey? – zapytałem, od razu ruszając w górę mahoniowych schodów.

– Tony zabezpiecza wejście, a Smokey osłania twoją dupę.

Usłyszałem charakterystyczny dźwięk przeładowywanej broni. Kolejna dawka adrenaliny rozpalila mi żyły. Kochałem to uczucie.

– U ciebie czysto?

– Sprawdzam – rzucił krótko Snake.

– Nie mamy czasu. – Rósł we mnie niepokój. – Nie podoba mi się, że nie ma tu żadnej służby. – Westchnąłem. – Ani jednego białasa. Usunąć przeszkodę i wracaj, a ja...

Nie dokończyłem, ponieważ przerwało mi soczyste przekleństwo.

– Snake, jesteś tam? Snake? Kurwa, odezwij się! – warknąłem, mając nadzieję, że nic złego się nie stało.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kamizelki, aby wyjąć telefon, i spojrzałem na monitor. Nadajnik Snake’a był wyłączony, co oznaczało tylko jedno – Snake nie żył.

Puściłem wiązaną niewybrednych bluzgów, wyłączyłem adapter i podążyłem korytarzem w lewo. Człowiek, którego

miałem się pozbyć, był jednym z naszych najcenniejszych łączników z Mossadem. Pokładaliśmy w nim duże nadzieje, ale zdradził. Przez niego zginęło siedmiu agentów amerykańskiego wywiadu. Coraz wyraźniej uwidaczniał się fakt, że on i reszta jego pobratymców nie byli naszymi sprzymierzeńcami. Świadczyły o tym poderżnięte gardła naszych ludzi, co zostało udokumentowane na zdjęciach, wysłanych zarówno do naszej agencji, jak i do rodzin zabitych. Obok takich sytuacji nie przechodziliśmy obojętnie, to nie było coś, co agencja potrafiła wybaczyć. Istniały przecież jakieś granice. Znacznie je naruszono, a do mnie należało zlikwidowanie zdrajcy.

Willa, w której się znajdowaliśmy, była pogrążona w ciszy. Zbyt nienaturalnej. Czułem, że kryło się za tym coś złego. Moja intuicja jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Nie miałem więc powodów, by teraz jej nie zaufać.

Kiedy skierowałem kroki ku mieszcącemu się w prawym skrzydle budynku pokojowi, na zewnątrz padły strzały.

– Dostałem, chłopaki – usłyszałem w słuchawce stłumiony głos Irona. Zawahałem się. – Jest ich dwóch przed wejściem i widzę kogoś biegnącego od strony ogrodu.

– Spieprzaj stamtąd! – rozkazałem, budząc się z chwilowego odrętwienia.

Iron zaśmiał się smutno, zanim zasyczał z bólu.

– Nie z dziurą w nodze, szefie. Powiedz Annie, że ją kocham.

– Iron, nie ruszaj się, już do ciebie idę. – Odwróciłem się szybko z zamiarem udzielenia mu wsparcia.

– Powiedz jej! – zażądał drżącym, pozbawionym nadziei głosem.

– Powiesz jej osobiście – zagrzmiałem, starając się nie zdradzić przyczajonej we mnie rezygnacji.

Miałem świadomość, że istniało naprawdę małe prawdopodobieństwo dotarcia do niego na czas.

– Sam, proszę...

Zakląłem.

– Powiem, ale nie waż się, kurwa...

– Nie weźmiecie mnie, skurwiele, żywcem! – krzyknął Iron, po czym zaświszczały mi w uchu odgłosy strzelaniny.

– Iron? Iron?!

– Zostaliśmy we dwóch, bracie – odezwał się ze znużeniem Smokey. – Przykro mi.

– Jak u ciebie? – Przełknąłem gromadzącą się w gardle wściekłość. Przeżywanie, rozpacz i żałobę musiałem odłożyć na później.

– U mnie czysto i cholernie mi się to nie podoba. Ktoś wsadził nas na minę. Dlaczego wysłali nas na pewną śmierć?!

– Nie wiem, kurwa. – Sam zadawałem sobie to pytanie. – Ale wierz mi, gdy wyjdziemy z tego gówna, to się dowiem. Uważaj na siebie, ja jestem u celu.

– Musimy się wycofać! – sapnął. – Nie damy rady...

Wyłączyłem słuchawkę, chcąc się skupić. Nigdy nie porzuciłem misji i tym razem również nie zamierzałem tego zrobić, a to jego pieprzenie mnie wkurwiało.

Stałem przed drzwiami gabinetu i wyteżyłem słuch. Ktoś znajdował się w środku. Dźwięk zza ściany był zakłócony, ale go słyszałem. Sięgnąłem do klamki i lekko ją nacisnąłem. Pchnąłem drzwi i wpadłem do środka, trzymając w dłoni gotową do oddania strzału broń.

– Kurwa.

Karil siedział na fotelu z rękoma przywiązany do podłokietników, głowę miał przymocowaną do jego oparcia. Z gardła sączyła mu się krew, a cała koszula i biurko zabrudzone były gęstą czerwoną cieczą. Rzęził, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Dopiero po chwili się zorientowałem, że nie miał powiek. Tyle razy spotkałem się już z czymś takim – sam obcinałem powiek wykorzystywałem jako jedną z tortur – że nie robiło to na mnie najmniejszego wrażenia. Ot, widok jak każdy inny.

Kiedy moje uszy wychwyciły odgłos czyichś kroków, cofnąłem się pod ścianę. Karilem targały konwulsje. Z ust wypływała mu piana. *Po co mieliby go otruć, skoro wiedzieli, że i tak umrze?* Nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Nagle usłyszałem jakieś głosy. Izraelczycy.

Ja pierdolę, mieliśmy przejebane.

Wziąłem głęboki wdech, włączając ponownie słuchawkę.

– Jackal, to nie jest pierdolony *Battlefield* – zaczął się ciskać Smokey od razu po nawiązaniu połączenia. – Spieprzaj stamtąd! Wiedzą o naszej akcji, kurwa. Zdradził nie Karil.

– Wiem – odszepnąłem, ignorując jego prośbę. – Widzę go i potrzebuję wsparcia.

Zrobiłem kilka kroków w tył i schowałem się za szafką, przylegając ściśle do ściany.

– Za dwie minuty dotrą Eagle i Crow. Nie wychylaj się – poprosił z rezygnacją Smokey.

Nie zdołałem nic odpowiedzieć, bo do gabinetu wpadł zamaskowany facet. Jeszcze mnie nie zauważył. Podeszedł do biurka. Nim zgarnął z blatu jakieś dokumenty, splunął na Karila.

Przewiesiłem karabin przez ramię i złapałem za swojego niezawodnego cutlera. Ruszyłem bezszelestnie w stronę sukinsyna. Znalazłszy się tuż za nim, wbiłem mu ostrze w lewą nerkę. Dzięki temu nie był w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Ścisnąłem jego głowę i szarpnąłem nią mocno, odpowiednio skręcając, by zaraz usłyszeć doskonale mi znane chrupnięcie. Wyciągnąłem z bezwładnego ciała nóż, po czym pozwoliłem truchłu opaść na ziemię.

– Jeden mniej – powiedziałem do słuchawki, wycofując się do drzwi.

– Nie dasz rady w pojedynkę – syknął Smokey. – Do kurwy nędzy, życie ci Niemile?!

– Mam kolejnego – wyszeptałem i znowu zakończyłem połączenie.

Powoli zakradłem się do przeciwnika. Ten był bardziej czujny i nim zdążyłem zaatakować, krzyknął głośno, żeby ostrzec resztę. Automatycznie wbiłem mu nóż w serce, przekręcając go dla wzmocnienia efektu. Kiedy na korytarzu zapanował chaos, wpadłem do pokoju za moimi plecami. Niemal się przewróciłem o rozciągnięte na podłodze ciało. Żona Karila leżała w kałuży krwi, a niedaleko niej – ciało ich trzynastoletniego syna.

– Pieprzone bestie – warknąłem na widok dziecięcego pokoju, który musiał należeć do Sari, trzyletniej córki Karila.

Różowe ściany skropione były krwią, wokół walały się zdeprawowane meble, zniszczone ubrania i zabawki.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu w poszukiwaniu dziewczynki. Nie dostrzegłszy jej ciała, poczułem ulgę. Widok trzylatki z podciętym gardłem nie był czymś, co zniósłbym ot tak, zwłaszcza że miałem siostrę w tym samym wieku. *Gdzie jesteś, mała?* – zapytałem w myślach, przedzierając się przez pobjowisko. Najpierw zajrzałem pod łóżko, potem do szafy. Na darmo.

Odgłos kroków stawał się coraz wyraźniejszy. Z nożem w pogotowiu przysunąłem się do drzwi. Ktoś chwycił za klamkę i przekręcił ją delikatnie. Wsunąłem cutlera w cholewkę buta, a w zamian wyjąłem zza paska glocka, którego cicho odbezpieczyłem. Kiedy drzwi się otworzyły, wycelowałem przed siebie. Odetchnąłem, gdy rozpoznałem blond czuprynę.

– Eagle, kurwa, już byłoby po tobie. – Wciągnąłem go szybkim szarpnięciem do środka.

– Widzę cię, mordeczko, więc spokojna twoja rozczochrana. – Pomachał mi przed oczami swoim GPS-em.

– Mogłeś mnie ostrzec, że się zbliżasz.

– Zrobiłbym to, gdybyś, kurwa, nie wyłączył słuchawki. Wiesz, jakie to niebezpieczne.

Nawet przez wielkie gogle widziałem w jego spojrzeniu wyrzut.

– Dobra, nieważne. – Miał rację, ale nie zamierzałem mu jej głośno przyznać. – Mów, jak wygląda sytuacja z twojej strony.

– Czterech na zewnątrz, z czego dwóch zdjął Iron.

– Co z nim?

Eagle pokręcił głową, nie odpowiadając. Nie musiał, wiedziałem, co to znaczy.

– Okej. – Przytaknąłem sztywno. – A jak reszta?

– Snake’a też chyba straciliśmy. Jesteśmy tylko my, Crow i Smokey. Z tego, co wiem, w domu jest jeszcze sześciu.

– Więc zostało czterech. Dwóch zdjąłem.

Sięgnąłem do słuchawki, żeby nawiązać połączenie z resztą załogi.

– Smokey, Crow, zajmijcie się tymi na zewnątrz. Macie wyyczyścić teren. Ja i Eagle przejmujemy dom. Nie żyje cała rodzina Karila prócz trzyletniej Sari, musi tu gdzieś być. Znajdziemy ją i spierdalamy.

– Dobra. Bądźcie ostrożni.

– Jak zawsze – zapewniłem. – Ja biorę lewą stronę, ty prawą, uważaj na dzieciaka – rzuciłem pod adresem Eagle’a.

Skinął głową na znak, że zrozumiał rozkaz. Otworzył drzwi i ostrożnie wyszedł na korytarz. Miałem iść za nim, ale bez ostrzeżenia wycofał się do pokoju.

– Co jest, kur...

Urwałem, ponieważ napotkałem wycelowaną w moje czoło lufę karabinu. Dwóch ciemnoskórych mężczyzn uśmiechało się zwycięsko, bełkocząc coś po arabsku.

Uniosłem powoli ręce, szacując nasze szanse. Wiedziałem jedno: tak czy inaczej, zginieemy, co jednak nie znaczyło, że mieliśmy poddać się bez walki.

– Kiedy dam znak, atakuj – powiedziałem do swojego kompana i od razu oberwałem kolbą w skroń.

Czułem, jak pęka mi skóra, a ciepła krew spływa po twarzy. Nie dane mi było „napawać się” bólem. Napastnicy porozumieli się w swoim języku, a następnie, popychając nas lufami, zaprowadzili piętro niżej do jednego z pokoi, przed którym dostrzegłem

kolejnych dwóch uzbrojonych facetów. Jeden z nich splunął nam pod nogi, ukazując rząd pożółkłych, wybrakowanych zębów. Gwałtownie wepchnięto nas do środka. Gdybyśmy nie byli tak roslymi skurczybykami, wylądowalibyśmy na podłodze.

– Proszę, proszę – przywitał nas znajomy głos. – Daliście się tak cholernie łatwo wmanewrować.

Kiedy uniosłem wzrok, ujrzałem siedzącego na skraju biurka Snake'a. Człowieka, z którym uczestniczyłem w niejednej akcji, któremu ufałem i powierzałem życie za każdym razem, gdy szliśmy w bój. Człowieka, którego uważałem za brata.

Zabulgotało mi w żołądku, a żółć podeszła do gardła.

– Ty skurwielu – wypłuł z siebie z obrzydzeniem Eagle i rzucił się w jego kierunku.

Snake bez wahania wyciągnął broń i strzelił mu w kolano. Eagle upadł na ziemię, skomląc z bólu.

– Nie tak szybko, ptaszynko. – Zaśmiał się zdrajca. – Jak na tak doświadczonego agenta jesteś cholernie głupi, Samuelu. – Spojrzał na mnie, bawiąc się zabranym mi wcześniej nożem. – Niezły, zawsze chciałem go mieć. – Poglądził ostrze, kalecząc przy tym palec.

Zebrałem się w sobie, żeby nie pokazać nawet najmniejszych emocji. Musiałem zachować zimną krew, choć rozsadzała mnie żądza mordy.

– To nie zabawka dla takich cip jak ty. – Nie posądzałem się o spokój, który towarzyszył moim słowom.

Uraziłem go, co zobaczyłem w wyrazie jego parszywej gęby. Właśnie na tym mi zależało. Nie cieszyłem się jednak długo swoim małym sukcesem. Snake wstał, podszedł bliżej i patrząc mi prosto w oczy, wbił ostrze w moje ramię. Zaciśnąłem mocno szczękę, by nie okazać słabości, a i tak z mojego gardła dobył się jęk bólu. Przycisnąłem dłoń do rany, żeby choć trochę zatamować krwawienie.

– Chcesz powiedzieć coś jeszcze? – zapytał Snake, wycierając nóż o rękaw mojego munduru.

Oddychałem głęboko, przeszywając go nienawistnym wzrokiem. Skuliłem się nieznacznie, niby z bólu, a tak naprawdę rzuciłem szybkie spojrzenie za siebie, aby obadać sytuację. W pomieszczeniu znajdowało się trzech dżihadystów i Snake. Dałbym im radę. Musiałem myśleć szybko, cholernie szybko.

– Chcę wiedzieć, gdzie przewieziono złapanych ostatnio izraelskich agentów – zażądał informacji Snake.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłem beznamiętnie.

Rzucił mi diabelski uśmiech, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy w ich ojczystym języku. Nie miałem pojęcia, że tak dobrze zna środkowosyryjski dialekt. Tak samo jak nie wiedziałem, że działa na dwa fronty.

Nie upłynęła nawet minuta, kiedy chwycono mnie za bety i popchnięto bliżej ściany, gdzie zwiślał hak z grubym sznurem. Przeoczyłem go wcześniej. Szarpnięto mną, a następnie przywiązano do nadgarstków pęta, naciągając je tak mocno, że moje naprężone ręce zapłonęły żywym ogniem.

– Brakuje krzyża. Byłby idealny obraz – zadrwił Snake i podszedł do mnie szybkim krokiem. Utkwił wzrok w moich oczach, które pozostały bez wyrazu, choć rana w ręce pulsowała, a napięte mięśnie paliły. – Podaj mi miejsca.

– Nie znam.

Rozciął mi kamizelkę, bluzę i termoaktywną koszulkę. Wiedziałem, co planuje zrobić. Sam go szkoliłem.

– Byłeś dobrym nauczycielem, Jackal.

– Szkoda, że ty byłeś dobrym uczniem – pyskowałem zamiast trzymać dziób na kłódkę.

Cały ja.

– O tym przekonasz się na własnej skórze. – W jego spojrzeniu załśnił błysk wściekłości, świadczący o tym, że ponownie go uraziłem. – Od zawsze lubiłem patrzeć, jak kwas wypala w ciele dziury. Podobało mi się, gdy z jego pomocą wyciągałeś informacje.

Sięgnął za siebie. W jego ręce pojawiła się metalowa strzykawka. Pomachał mi nią przed oczami.

Będzie kurewsko bolało – skwitowałem w myślach. Mimo to nawet się nie zająknąłem, kiedy wstrzykiwał mi pod skórę żrącą substancję. Ani wtedy, gdy zaczęła działać, siejąc spustoszenie w moim organizmie.



Kilka godzin później odchodziłem od zmysłów. Moja klatka piersiowa była jedną wielką ziejącą raną. Ból doprowadzał mnie do obłądu. Nie zamierzałem niczego wyjawiać, dlatego w duchu szykowałem się na śmierć. Eagle leżał nieprzytomny pod przeciwległą ścianą, stracił cholernie dużo krwi i obawiałem się najgorszego.

– Imponujesz mi, kurwa. Serio, facet, jesteś genialny. – Bardziej czułem, niż widziałem, że Snake przechadzał się przede mną w tę i z powrotem.

– Pierdol się! – jęknąłem, nie mając sił, by podnieść głowę i na niego spojrzeć.

– Znajdę na ciebie sposób – zagroził.

Potem powiedział do swoich ludzi coś, czego nie zrozumiałem. Chwilę później runąłem na ziemię jak worek ziemniaków.

Ciało paliło mnie i pulsowało, czułem każdy mięsień i kość, oddychanie sprawiało mi niemiłosierny ból. Najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłaby śmierć, nie poddawałem się jednak. Na przemian traciłem i odzyskiwałem przytomność.

– Sam! Sam, kurwa, obudź się! – dotarł do moich uszu czyjś niewyraźny głos. Uniosłem powoli powieki i natrafiłem na rozmytą twarz Crowsa. Kącik ust powędrował mi nieco do góry. – Zabieramy was stąd – oznajmił, zarzucając sobie moje ramię na szyję i próbując pomóc mi się podnieść.

Zacisnąłem wargi, żeby nie skrzywić się z bólu.

– Sześciu – wyjąkałem.

Przez moje ciało przepłynęła fala ognia. Opadłem bezwładnie do tyłu, na co Crow wypuścił serię bluzgów.

– Dwóch zdjęliśmy.

– Snake... – wydukałem ostatkiem sił.

– Chyba nie żyje. Nie możemy go namierzyć.

– Nie... on...

– Nic nie mów. Zajmiemy się wszystkim. Kurwa, kto cię tak urządził? Zaraz dam ci coś, co uśmierzy ból.

Nie zdołałem już nic powiedzieć. Opadły mi powieki, a umysł pograżył się w ciemności, odcinając mnie od wypełniającej każdą komórkę mojego zmasakrowanego ciała agonii.



Ocknąłem się, słysząc strzały i krzyki. Potrząsnąłem głową, starając się skupić na sytuacji wokół. Zlekceważyłem ból, który zapewne był i tak niczym w porównaniu z tym, co działałoby się, gdybym nie dostał solidnej dawki morfiny. Przeklinający Crow z wbijaną mi w brzuch igłą stanowił moje ostatnie wspomnienie.

Teraz stał przede mną, mierząc z broni do Snake'a, kryjącego się za rozdygotaną ze strachu dziewczynką.

– Puść, kurwa, to dziecko, pierdolony zdrajco! – zażądał Crow.

Przeniósłem spojrzenie z jego pleców na przerażoną twarz dziewczynki. Kiedy jako tako wróciła mi świadomość, rozpoznałem w niej Sari. To był bodziec, który zmusił mnie do działania. Odsunąłem ból na bok. Wyostrzył mi się wzrok, chociaż przesłaniała go chęć mordy.

– Gdzie masz drugi pistolet? – wychrypiałem pod adresem przyjaciela.

Zerknął na mnie szybko przez ramię.

– Ty... Jak?

Zarejestrowałem niedowierzanie w jego głosie.

– Gdzie? – warknąłem.

Sięgnął za plecy i rzucił mi swojego glocka. Odbezpieczyłem go i podczołgałem się na przedramionach bliżej. Skierowałem lufę na byłego współtowarzysza broni.

– Umrzesz szybko, Snake, pod warunkiem, że wypuścisz dziecko – wysyczałem przez zaciśnięte zęby.

– Jedyną osobą, która dziś umrze, będziesz ty, Jackal – odparł spokojnie, choć wymachiwał pistoletem na prawo i lewo, co świadczyło o jego zdenerwowaniu.

– Puść dzieciaka – powtórzyłem.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? – Zaśmiał się szaleńczo, gładząc wolną ręką ciemne włosy Sari. – To ty ją zabijesz, nie ja.

Wycelowałem broń w jego głowę, lecz z powodu tego, że trzymał przed sobą dziewczynkę, nie miałem możliwości wykonania czystego strzału, jeśli nie chciałem jej zranić.

– Na każdej wojnie są ofiary, Sam – przypomniał mi Crow.

Pewnie zauważył, że się wahałem.

– Nie – zaprzeczyłem, zanim zdecydowałem się na strzał.

Kula, która wyleciała z mojej lufy, drasnęła jedynie lewy bok twarzy Sari, rozrywając ucho Snake’a. Wrzasnął, wypuszczając z objąć dziecko.

Crow rzucił się do przodu, chwycił małą, by ją od niego odciągnąć, i przekazał ją mnie. Nie musieliśmy porozumiewać się słowami, żeby przewidzieć swoje kolejne ruchy. Działaliśmy jak dobrze naoliwiona maszyna.

– Już w porządku. – Niezdarnie pogładziłem Sari po główce.

Drżała w moich ramionach jak osika, przeżywając tak wielki dramat, ale nawet jedna łza nie wypłynęła jej z oczu. Była twardsza niż niejeden dorosły facet. Podziwiałem ją za to.

Odwrociłem się szybko, żeby ocenić sytuację. Snake wkładał właśnie do ust małą fiolkę.

– Nie ma, kurwa, mowy! – syknąłem.

Odepchnąłem dziecko pod ścianę. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się wstać, lecz wiedziony furia, dopadłem do zdrajcy i z całej siły zacząłem ścisnąć jego policzki, powstrzymując go od przełknięcia trucizny.

Snake zaczął rechotać jak wariat. Wiedziałem, że moje wysiłki były daremne.

– Pieprzony tchórz! – Zawrzałem, wymierzając mu cios pięścią.

– Jackal – zacharczał. – Jest coś jeszcze, pieprzony skurwielu. Mam dla ciebie ostatni prezent.

Choć śmierć wisiała nad nim z przyszykowaną kosą, jego przekrwione oczy błyskały triumfem.

– Sądzisz, że ci uwierzę, sprzedajna kurwo?!

– Tik-tak, tik-tak... – odliczał, zaczynając się dusić.

– Zdychaj, Snake, zdychaj w cholernych męczarniach.

Puściłem go, runął z impetem na podłogę, gdzie zaczął się wic jak prawdziwy wąż.

Przytrzymując się ściany, dotarłem do skulonej Sari.

– Zabijesz ją... – wydusił z siebie. – A jeżeli tego nie zrobisz, zginą setki ludzi. Ona jest zapalnikiem... – charczał. Z ust wypływała mu biała piana. – Jeśli jej serce... Jeśli ono przestanie bić... bomba przestanie tykać... Tik-tak...

– Bomba, kurwa?! Sądzisz, że uwierzę w ten twój bełkot?

– Albo ona, albo setki innych... – Kolejna tura opętańczego śmiechu opuściła gardło Snake'a. Dusił się przy tym własną śliną. – Tik...

– Jaka bomba, skurwielu?! – Crow przyklęknął obok niego. Ujął w garść jego włosy i szarpnął kilkakrotnie. – Jaka?! – powtórzył, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Ciało Snake'a zeszytniało, po czym rozluźniło się i opadło bez życia na ziemię.

– Samuelu, jeśli to prawda...

– To nie może być prawda. Nie uwierzemy chyba komuś takiemu jak on? – zaoponowałem, jednak coś w głębi duszy mi podpowiadało, że groźba tego judasza mogła okazać się prawdziwa.

– Spójrz na to. – Crow wskazał głową na coś za mną.

Odrzuciłem się, a moje spojrzenie spoczęło na drżącej dziewczynie. Na jej klatce piersiowej widniała niewielkich rozmiarów rana z czterema szwami, której do tej pory nie zauważyłem. To oznaczało tylko jedno – dziecko miało wszyty pod skórę ładunek wybuchowy, który ktoś mógł w każdej chwili zdetonować, by wysadzić tę wioskę oraz prawdopodobnie wszystkie okoliczne. Mielśmy przejebane. Całkowicie.

– Może dlatego jej nie zabili? – zapytał retorycznie Crow. Odsunął się od trzylatki i zaczął uruchamiać nadajnik, żeby połączyć się z naszymi ludźmi. – Muszę to zgłosić...

– Nie! – powstrzymałem go.

Miałem naprawdę kiepskie przeczucia.

Siedziałem w bezruchu. Sari musiała pojąć, że dzieje się coś złego, bo wreszcie zapłakała. To wcale nie ułatwiało mi podjęcia decyzji. W końcu przysunąłem się do niej i wziąłem w ramiona.

– Będzie dobrze – wyszeptałem, a mała przywarła do mnie, obejmując mnie rączkami, i łkała mi cicho w pierś.

– Nie możemy ryzykować. Wybacz – oświadczył stanowczo Crow, a następnie skontaktował się z górą.

Słyszałem, jak zdaje sprawozdanie. Skończywszy, podał mi słuchawkę.

– Misja zakończona, możemy wracać – burknąłem, kiedy zabrzęczało mi w uchu.

– Nie do końca, Jackal. Wiesz, co należy zrobić, nie możemy ryzykować – powiedział stanowczo pułkownik Frost.

Na myśl o tym, co stanie się z Sari, jeśli im na to pozwolę, skurczyło mi się boleśnie serce.

– To jeszcze dziecko.

– Jedno w obliczu setek. Prezydent rozkazał zlikwidować zagrożenie. Ona jest tym zagrożeniem. Agencie, znasz zasady, wiesz, czym grozi niesubordynacja. Pamiętaj, że chronisz swój kraj i jego obywateli. Czasami trzeba poświęcić jednostkę dla życia tysięcy. To rozkaz. Za piętnaście minut budynek zostanie zrównany z ziemią. Liczę, że nie zawiedziesz.

Po tym kategoriycznym wywodzie Frost się rozłączył, nie pozostawiając mi miejsca na dyskusję.

To był jeden z momentów, gdy nienawidziłem tego, czym się zajmowałem. Złość mieszała się z psychicznym cierpieniem, silniejszym od fizycznego. Krew szumiała mi w uszach, a serce galopowało z zastraszającą prędkością. Czułem przerażenie, jakiego do tej pory nigdy jeszcze nie doświadczyłem. Oddychając głęboko, przymknąłem oczy, żeby zgromadzić w sobie resztkę sił i wznieść mur, mający odgrodzić mnie od buzujących w moim wnętrzu uczuć.

– Spieprzaj, Crow – syknąłem.

– Zostanę.

– Wypierdalaj, bo wpakuję ci kulkę między oczy.

Podniosłem broń i w niego wycelowałem. Nie groziłem jeszcze żadnemu z moich kompanów. Wyglądało na to, że postradałem rozum.

– Muszę się upewnić...

– Nigdy, kurwa, nie zawiodłem. Zawsze wykonuję rozkazy. Tak będzie i tym razem.

Już siebie nienawidziłem.

Skinął głową. Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze dodać, lecz dał sobie spokój.

– Przykro mi, Sam. Naprawdę. – Westchnął ciężko.

– Wyjdź.

Odwróciłem od niego wzrok. Spojrzałem na wtuloną we mnie Sari.

– Chcę do mamusi – wymamrotała w znanym mi języku, kuląc się bardziej na moich kolanach. – Zaprorowadzisz mnie do mamusi? – Uniosła główkę i popatrzyła na mnie zaczerwienionymi od płaczu wielkimi oczami.

Przełknąłem twardą gulę, która zatykała mi gardło, i smutno uśmiechnąłem się do trzylatki.

– Zabiorę cię do niej, ale najpierw zamknij oczka i się zdrzemnij. Posiedzę z tobą chwilę i zaraz się z nią zobaczysz, dobrze? – mówiłem najłagodniej, jak potrafiłem.

– Dobrze, wujku.

Delikatny uśmiech rozciągnął jej idealne usteczka. Oparła główkę na moim poranionym torsie.

Nie czułem fizycznego bólu, to moje wnętrze pękało z rozpacz. Pogładziłem Sari po włosach, wyciągając jednocześnie z kieszeni strzykawkę z trucizną. Przed oczami galopowały mi przedstawiające moje rozradowane młodsze siostry obrazy. Zamrugałem szybko, żeby się ich pozbyć, po czym wciągnąłem głęboko powietrze.

– Śpij dobrze, cukiereczku – szepnąłem, zanim nacisnąłem tłok strzykawki.

Samotna łza stoczyła się po moim policzku, wypychając mnie w ramiona śmierci.